





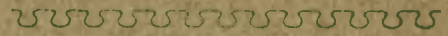
P.1.345

P.I. 345

Warszawa 5 maja 1906 roku.



PROTEST.



Czasopismo bojowników
Miłości i Piękna.



Alleluja! — dniom boleści
Wnęć skrzydłami zaszeleści
Anioł, zwiastun dobrej wieści!

Kragiński „Przedświt”.

Zeszyt pożegnalny.

Cena 40 groszy.



Z przyczyn od Redakcji niezależnych „Protest“ wychodzić przestaje. Dajemy Wam, Bracia, te kilka pożegnalnych kartek ku rozwazdze. Odchodzimy z życzeniem: niech Bóg natchnie serca wasze Miłością, a duszom da poznanie Piękna.

Nie znaczy to, że pismo upada, lub że idea, której ono hołdowało, niema wyznawców. Owszem, „Protest“ znalazł szerokie uznanie w społeczeństwie. Atoli wrogowie Prawdy nie przebierając w środkach, oczerniali tytuł pisma szeregiem insynuacyj za rzekomy udział czynny w nim osób, bez waloru moralnego i politycznego. Zamykamy zatem „Protest“, ale niebawem zwolennicy naszej idei skupią się przy nowym organie, który będzie szerszym i bardziej jeszcze stanowczym wyrazicielem dążności *in crudo* w „Proteście“ wypowiedzianych.

Redakcja

Warszawa 2 maja 1906 r.





I stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz...

Zaprawdę, zaprawdę mówię wam: kto nie wehodzi przeze drzwi do owczarni owiec, ale wehodzi inędzy, ten jest złodziej i zbójca.

Lecz który wehodzi przeze drzwi, pasterzem jest owiec.

Temu odźwierny otwiera, a owce słuchają głosu jego, i nazywa owce swe mianowicie i wywodzi je.

A gdy wypuści owce swe, idzie przed nimi, a owce idą za nim, bo nie znają głosu obcych.

* * *

Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, iżem ja jest drzwiami owiec.

Wszyscy, ile ich przyszło, złodzieje są i zbójcy i ich nie słuchają owce.

Jam jest drzwiami. Przez mię jeśli kto wnidzie, zbawion będzie: i wnidzie i wynidzie i pastwiska znajdzie.

Złodziej nie przychodzi, jedno, żeby kraść, a zabijał i tracił. Jam przyszedł, aby żywot miały i obficie miały.

Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje.

Lecz najemnik i który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego i opuszcza owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce.

A najemnik ucieka, iż jest najemnikiem i niema pieczy o owcach.

Jam jest pasterz dobry: i znam moje, i znają mię moje.

Jako mnie zna Ojciec i ja znam Ojca, a duszę moją kładę za owce moje.

I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni i one potrzeba, abym przywiódł i słuchać będą głosu mego, i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz.

Jan X, 1—17.

Moja Wiara.

I.

Takiego słowa trzeba ci, mój ludu,
I przepotęźnej takiej trzeba pieśni,
W której się Bóg twych ojców ucieleśni,
Bóg Słowiańszczyzny cichy i łagodny,
A nie sądzący i przeklinający.
Cudu trzeba, cudu,
By tego Boga stawić ci przed oczy,
Gdyś wieków tyle chadzał wśród omroczy...

Chociem jest człowiek wiele miłujący,
Chociem w cierpieniu urósł przepotęźnie,
A myśl ma, jako wichrów fale gonne,
Otom jest w trwodze zaduman i drżący,
By bojowanie me nie było płonne...

Jam się potykać z wrogiem gotów mężnie,
Jam gotów płonąć w wiecznych mąk pożodze.
Jam po cierniowej gotów stąpać drodze,
Jeśli ze krwi mej ma wstać jasna zorza
Dla ciebie, ludu!
Ale tu nie dość męki i ofiary,
Tą zorzą żadne nie spłoną pożary,
Tu cudu trzeba, cudu, cudu, cudu...

Widziałem lasy wyciągniętych dłoni
Purpurą krwawą pod zorzę ciekących,
A wieniec z cierni był przy każdej skroni.
Krzyże leżały na ramionach drżących...

Więc brałem w siebie ból ze krwi wstający,
Ze krwi, w zapasach bratnich zatraconej,
Więc brałem w siebie zew od chat idący
Ponad ugorem leżące zagony,
I roboczego ludu brałem jęki,
Co po ulicach miast umierał z męki,
I modlitwne brałem zamyślenie,
W którym się ludzkie stapało cierpienie,
I cały byłem jękiem i modlitwą,
Czuając, żem oto jest przed wielką bitwą.

II.

Stąpając po ciernistej drodze protestu, skonaćby można w męce i samotności, gdyby nie zastępowały nam pielgrzymki onej duchy bratnie, gdyby ze stęchłych mroków życia dzisiejszego nie wyciągały się jasne prawdą dłonie, które dotąd załamywać się beznadziejnie musiały na łkających duchową samotnością piersiach.

Witajcież nam, ciche, dobre dłonie, witajcie oczy bratnie, witajcie duchy z ducha naszego!

Hej, szeregi wasze rosna. Hej, białe szeregi bojowników Prawdy!

Iskra wspólnoty dziwnej dreszczem przeczuć świętych przeszywa nam serca, oczy nasze w zamyśleniu i tęsknocie oglądają zorze Królestwa Bożego, rozslonecznioną majem łakę mistyczną, po której stąpa jasna postać Ukrzyżowanego.

Za Nim Synowie Słońca, w bój o Prawdę, za Nim, choćby na krzyż, za Nim...

Zdaleka od synów ziemi! Zdaleka od tych upiorów Prawdy, co mówią, że są skarbnikami Mądrości, a zmiję zwątpień w zanadrzu swem noszą, zdaleka od nich! Stęchliżną grobu wieją szaty ich, pustką grobu patrzą oczy ich, zimnem grobu zarażają ręce ich. Przewymaraczyli myślą swą Prawdę Wiekuistego Piękna i Wiekuistego Dobra na grobowo pelgający ogarek Mądrości.

Zdaleka od nich, Synowie Słońca i Wiecznego Piękna, Panami stokroć rozleglejszych dziedzin wy jesteście. Strzeżcie pilnie skarbów, złożonych ręką Wszechmocnego w sercach waszych. Strzeżcie ich!

Oto przyjdzie Dostatek i powie: oddaj mi je! Nie oddawaj Synu Słońca! Zostanie ci w ręku zimna moneta, a stracisz skarb cichego szczęścia smutku i tęsknoty. Byłeś Serafinem natchnień płomiennych, byłeś Tytanem czynów wiodących w Krainę Królestwa Bożego, a staniesz się słupem soli patrzącym wstecz na ruinę Krainy Szczęścia.

Zstąp w siebie, Synu Słońca i słuchaj głosu Boga.

Zstąp w siebie!

Nie idzie ten głos z zewnątrz — od ludzi, ale jest w tobie. A jeśli się nie nauczysz sam głosu tego rozumieć, to nie poradzą na to nauki najmądrzejszych.

A jeśli myślisz, że w splugawionej kłamstwie i jarmarkiem Świątyni Pańskiej usłyszysz echo tęsknot serca swego, toć ból duszy swej gotujesz okrutny. Albowiem w świątyni ujrzyś szaty kapiące od złota, ujrzyś dymy kadzidel usłyszysz śpiew psalmów najemny, a monotonny jak monotonna jest niedola ludzka, jak monotonna jest niedola twoja, ale nie będzie to śpiew wieczności, którego doszukasz się tylko we własnym sercu.

A ujrzyś tam jeszcze sfinksowe twarze kapłanów, milczące i zimne i usłyszysz słowa ich suche, jak miedzi brzęk. Skłamią ci, że wiedzą porządek wszechrzeczy, a zatają, że nieświadomość jest udziałem syna człowieczego, a nie wiedzą zgoła, że głos serca i on jeden wiedzie do stóp Najwyższego.

Nastrajają duszę muzyką i śpiewem, oslepiają przepychem i kadzidłem, ale to wszystko nie jest echem myśli i tęsknot twoich, to tylko zdolne nastroić i oslepić.

Więc buduj sobie, Synu Słońca, świątynię w sercu swoim, do niej zachodź, do niej zapraszaj duchy bratnie na ucztę miłości i pokoju.

A chcesz echa snów własnych, słuchaj, jako wicher szumi, jako płyną rzeki. To szum, pokrewny szumowi myśli twoich, to ruch, pokrewny równomiernym uderzeniom serca twego. Tam Bóg przejawia się, jak się w myśli i sercu twoim przejawia.

A chcesz znaleźć ujęcie dla pragnień i tęsknot twoich, idź za Chrystusem na krzyż poświęceń.

W miłości bliźnich znajdziesz uspokojenie i ciszę.

Przygarniaj do piersi wszystko, co cierpi i tęskni, łącz się w cierpieniu i tęsknocie. kładąc ciche pocałunki na umęczonych czołach, a Bóg złoży pocałunek pokoju na czole twoim.

Idź, Synu Słońca, promienistą drogą Piękną i Ofiary.

Idź Chrystusową drogą, smutny pielgrzymie doczesności, a już tu czeka cię mistyczna łąka Królestwa Bożego.

To moje Credo — to Credo człowieka, który wziął w siebie wszystek ból i tęsknotę cichych, smutnych braci Słowian i daje im nowego Boga — Boga Piękną i Miłości z wiarą, że przez Słowian ku nowemu Bogu pójda plemiona ziemi.

A nie tworzę sekty nowej, albowiem każdy człowiek własnego Boga nosi w sercu swem. Dając mu Boga mego, dogmat mój i przepis mój, robiłbym go niewolnikiem swoim, a tego mi nie wolno i nikomu nie wolno, bośmy wszyscy dziećmi wolności.

Kto echo własnych myśli, pragnień i tęsknot znajdzie w słowach moich, niech idzie za mną, by w tęsknocie wspólnej i pragnieniu szukać Boga, a w miłości i czynie odnajdywać Go.

A nie czynię siebie nauczycielem, albowiem powiada Ewangelja: „Nie zowiecie się nauczycielami, gdyż jeden jest nauczyciel wasz. Chrystus“. ¹⁾

Ale ludzie słabi są i do jarzma przyzwyczajeni, przeto jarzma dogmatów i przepisów domagają się, a trudzić się nie chcą i dogmatu szukać w sercu własnem, nie chcą odczytywać wypisanych na niem ręką Stwórcy przepisów.

A powiadam wam, niewolnicy słabości własnej, iż nadszedł czas czuwania. Pytajcież głosu serca swego o Boga. A biada, jeśli w was Bóg umarł. Jeśli zaś żyje, to głos serca odpowie wam, iż droga doń wiedzie jedna, a nie inna, jedna droga Ewangelji Chrystusa, bo ta ci jest droga Piękną i Miłości.

III.

Przyszedłem do swoich, a swoi mię nie przyjęli.

A nie tylko nie przyjęli, ale powtórzyli za kłamcami, iżem jest człowiek niemoralny i występny.

Nie gniewałem się na nich i nie smuciłem się, albowiem wiedziałem, iż są nieświadomi, jako w błąd przez oszczerców i kłamców wprowadzeni.

Alem się smucił, iż prawdy i sprawiedliwości nie miłują.

Bo gdyby miłowali, przyszliby zapytać, gdzie jest ten, którego nazwano niemoralnym i występny.

A nie przyszli i oto, co było smutkiem moim.

A większym jeszcze smutkiem było to, że dowiedziawszy się o prawdzie, bronić jej nie chcieli.

Smuciłem się, iż ziolkowie moi Prawdy nie lubią, choć Apostołami Prawdy wybrani są od Boga.

Ale ja im przebaczam, bo słabi są, a ja ich kocham niezmiernie.

I kłamcom przebaczam, albowiem kłamali, nie rozumiejąc Prawdy, a w twórze będąc o cześć swoją i o urząd.

A przebaczam im, bom taki jest, jako mówili — grzeszny. Ale niech mię potępiają, jeśli są inni.

¹⁾ Mat. XXIII, 8.

Ale nie wszyscy mię spotwarzyli i nie wszyscy odepchnęli. Przygarnęli mię ludzie, którymi tu dotąd pogardzano, których nazywano fałszywymi prokrokami. A poniewierali nimi ludzie sami źli i fałszywi.

A ludzie ci byli dotąd bojownikami Prawdy, a odtąd będą zbierać owoce prac swoich.

A Chrystus da im żęńców mnogich, a lud im otworzy gunna serce swoich.

Edward Miłkowski.

Warszawa 1 maja 1906.



Krzyk obłąkanego.

Po nad Warszawą krwawa luna płonie —
 Na krzyż promienne rozstrzelila blaski.
 Patrzenie: pośrodku krzyża czyjeś skronie!
 Słuchajcie: usta czyjeś jęczą: łaski!
 Ciężarne ciałem trzeszcza czyjeś dłonie —
 Pewnie dalekie chcą pokazać brzaski.
 Patrzenie! słuchajcie! o ślepi, o głusi!
 Przeczże Rozpięty sam umierać musi?

Mnie koledzy nie żegnają, ani dłoń kochanki pieści,
 Nad mą głową uciernioną w czarne skrzydła kruk szeleści,
 Nad mą głową uciernioną płyną stada chmur spłoszone,
 Jenó blask księżycy pieści moje dłonie przebodzone —
 Jenó Wisła cicho płacze, odbijając w swoim łonie
 Mój krzyż wielki i promienny, uciernione moje skronie...

Niechaj się iści ma ofiara krwawa!
 Nowy ból chłoneń w pierś miłością zbrojną —
 Niechaj spopieli serce bólu lawa!
 Na horyzoncie — nowym ludem rojno,
 Na horyzoncie — boju wre kurzawa —
 Muszę na walkę ponieść twarz spokojną —
 Niech w niej zostanie tylko to, co z Ducha —
 Oto już ciżba mego głosu słucha.

* * *

W widmo się kiedyś mój duch wypromieni,
 Cudem rozbliśną obłąkane oczy,
 Lecz robak obelg wpierw mi serce stoczy
 I wpierw od waszych muszę ledz kamieni.

Wstanę z mogiły w obłakańca szacie,
W purpurze własnej krwi — podniosę dłonie
I błogosławić będę i poznacie
Po własnej ślinie — moje blade skronie.

Prometeusz Wicher

Warszawa 21 kwietnia 1906 r.



Kramarze.

Z cyklu: „Legandy, ideje, ewangelje i paradoksy.“

Kazimierzowi Kamińskiemu.

... „Proroku, smutny i blady, prorokuj!...
.....

„Dlaczego po nas Twoja łódź nie płynie?
„Gdzie dla tonących miejsce w Twojej nawie?
„Czemu chłop w pustym powiesił się młynie,
„A dziewczka dziecko utopiła w stawie?...“
Leopold Staff.

I Chrystus zawisł na krzyżu. Nagi na drewnianym krzyżu.
Jego idea unieściła jego osobę.
On chciał się unieścić, aby — rzuciwszy światu swoją ideję — nie zasłonić jej swoją osobą.

Wielki znawca i przetworzyciel duszy ludzkiej wiedział, że ludzie daleko więcej entuzjazmują się *przedstawicielem* pewnej idei, jak *samą ideją*.

To też pragnął unieścić się, albowiem nie był kabotyńcem, ani karyerowiczem.

Do śmierci męczeńskiej dążył świadomie i instynktowo, chcąc zejść nagle z przed oczu ludzkich, jednakowoż śmiercią swoją utrwalić swoje ideje. A wiedział, że ludzie, przekładają nad wszystko melodramat.

Nie było Jego celem, aby z ziarna przezeń rzuconego, wykwitł jedynie: *krzyż*, ten oderwany symbol historycznego fanatyzmu. Nie.

On chciał, aby *wykwitła jego ideja* i przetworzyła świat.

I dlatego: wypowiedziawszy wszystko, co miał wypowiedzieć, potępiwszy wszystko co miał potępić, rozpiął się na krzyżu, na drewnianym krzyżu dobrowolnie i z prostotą.

Tylko ludzie tej wiary co On, umią zejść z areny, kiedy dopełnili celu swego wystąpienia, wiedząc, że przedłużeniem i nieskończonymi recytatywami popsują tylko dzieło rąk własnych — rzucone światu potężnie i z rozmachem.

Więc dobrowolnie unicestwił się Chrystus na ołtarzu swojej idei, aby kiedyś nie unicestwiono tejże idei... na jego ołtarzu. Ale oto — kazali mu zmartwychwstać. Z czerwona chorągiewką w ręku, uśmiechem na różowej twarzy i rozwianymi włosami.

Lecz On umarł przecież na krzyżu na drewnianym krzyżu, może ze swoją ideją razem.

Aż oto wyjęto mu żelazne gwoździe z rąk i nóg i wprawiono złote.

Zdjęto go z krzyża — z drewnianego krzyża i położono mu inny, lśniący, z kutego srebra.

Na zamysłoną, przebolesną głowę proroka wciśnięto koronę taką, jaką noszą królowie ziemscy, śpiący na sprężynowych materacach i pijący kawę Ceylon na śniadanie.

Potem na ciało włożono mu płaszcz jedwabny, — dar pobożnej damy, która nigdy nie nakarmiła głodnego i nie napoiła nigdy pragnącego — i zmartwychwstały Chrystus ujrzał, jak naprzeciw niego wzniesiono gmach pod jego wezwaniem, cały z marmuru i ciosu. I ujrzał jak przedsiębiorcy budowlani oszukiwali robotników — a szereg obcych mu kramarzy zbliżył się do niego, ubrany w bezcenne szaty i uzbrojony w szczerozłote kadzielnice i jał okadzać go myrrą i bursztynem. I ci postrojeni kramarze powtarzali ludowi tylko:

— Patrzcie. On umarł... dla was!

A tego, co On chciał, co On głosił, tego nie mówili. A jeśli mówili, to całkiem inaczej niż to, co On chciał i niż to, co On głosił.

I odbito w tysiącach egzemplarzy podobiznę jego — chromolitografią i oleodrukiem — natomiast nauk jego nie pozwolono czytać ludowi *), albowiem uliczni kramarze monopolizowali je i — wymieniać zaczęli na brzęczącą monetę.

I lud o swoim proroku wiedział tylko, że umarł na krzyżu, oczywiście na srebrnym krzyżu ze złotymi gwoździami w dłoniach i z koroną na głowie taką jaką noszą królowie ziemscy, śpiący na sprężynowych materacach i pijący na śniadanie — kawę Ceylon.

A ponieważ lud ten był biedny, a srebrny krzyż i złote gwoździe i korona kosztowały wiele, więc wytworzyła się pewna ukryta dysharmonia między ludem, a jego prorokiem. I uczynili go Bogiem, aby go mógł prosić dzień i noc, w rozmaitych ściśle określonych ewolucyjnych modlitewnych:

— ...Iżeśmy ci sprawili srebrny krzyż, i złote gwoździe; iżeśmy ci wybudowali gmachy z marmuru i ciosu i ubrali kapłany twoje w bezcenne ornaty, nakładając na się dobrowolnie kontrybucye i podatki, przechodzące możność naszą — przeto ty nam daj wzamian... chleba naszego powszedniego. *Nie ideały!!!* ale *chleba naszego powszedniego!!!* A my głosić będziemy — ogniem i mieczem — nawet między dzikie pogany, żeś ty na to przyszedł na świat... aby umrzeć na krzyżu.

Oczywiście na srebrnym krzyżu, ze złotymi gwoździami w dłoniach i koroną na głowie taką, jaką mają podupadłe królowe, bojące się, aby je nie posądzono, że... nie mają już korony.

Że jednak proźba okazywała się czasem daremną i lud począł się cisnąć nieco groźnie i łakomie do srebrnego krzyża, do jedwabnych ornatów i szczerozłotych kadzielnic — więc po naradzie — wypróbawwszy bezskutecznie wszystkie męki i kłatwy św. Inkwizycyi — ustrojony dygnitarze przyklepili wielką etykietę na ciele proroka:

*) Według przepisów Kościoła katol. nie wolno czytać wiernym pisma św. — chyba z kościelnymi komentarzami.

— Uprasza się nie dotykać przedmiotów, ze względu na rzeczywiste i zrozumiałe *tylko nam* niebezpieczeństwo.

I lud stanął zdaleka i odtąd zdaleka patrzy na swego proroka — leniwie lub trwożnie, z tak daleka, że widzi już jedynie... białą, arcykapłańską etykietę arcykramarzy. a nie słyszy absolutnie jego głosu:

— ...*Unicestwiłem siebie na ołtarzu moich idei, aby kiedyś nie unicestwiono tychże idei na moim ołtarzu.*

A oto wy *mnie* okadzacie myrrą i bursztynem.

Maria-Chil.



„Boga samego znać i Jemu samemu służyć.”

Tak powiadają biblijne księgi, słowa Apostołów i Świętych Pańskich — tak wołali w puszczech prorocy o spalonych wargach i wyschłych z ascezy ciałach. Tak woła dusza moja w udręczeniu wielkim, w bólach najsroższych, w cierpieniach najokrutniejszych męczarni.

Boga samego znać i Jemu samemu służyć.

Krom tego wszystko inne udręczeniem jest i nicością. —

— Otom jest miłością ziemskiej miłości i płacze dusza moja zgrzytliwym wyciem rozpaczy, bo wyzwolić się z pęt owych nie zdolna.

Zaiste, miłość ziemi ciężarem jest i barki do krwi brzemieniem swym rani.

A przeto, że ukochałam rozkoszy czar, nicością jestem i nieukojem — raną niezagojoną, wiecznie starą, a wiecznie nową.

Zjadliwe żądło miłości! Usta podające drugim pocałunki ognia, wżerają się w duszę — wwiercają w mózg, w serce, w nerwy — aż do najskrytszych głębin istoty, do prailów, do Absolutu — i, paląc pożądaniem, męczą wiekiście.

Pożądliwe jest oko miłości. Jedno pragnienie podsyca drugie — cały szereg najbardziej wyrafinowanych, bolesnych żądz — co się w niesforne chucie przemieniają — łańcuch nieskończoności z ogniw żelaznych, koniecznych przyczyn i skutków.

Okrutne ręce miłości. Kogo onłotą one, isć musi splełany łańcuchami, bezwolny, bezoporny, bezbronny. Jak niewolnik pod pręgierz kary prowadzony, tak poddany miłości isć musi na stos coraz nowych męczarni — niespodziewanych igraszek — aż wreszcie rzuconym bywa w paszczę rozjuszonych dzikich zwierząt — na arenie purpurowych rozkoszy krwi.

Otom wplec ona w męczarni kolo — splełana łańcuchami bolesnych żądz — rzucona na arenę cielesnych igrzysk — w paszczę namiętych zwierząt.

Otom w purpurze krwi rozogniona — i drżąca w ogniowym płomieniu.

I wielkam w tej niewoli miłości — i zarazem nędzna nicością moja, bo wszelka ziemską miłość — to nicość.

I niemasz nic krom kochać Boga i Jemu samemu służyć.

Z żywego ciała brano mi czucie, krew, istnienie — wyrwano mózg, myśli, łzy, uśmiechy.

Wszystko to wrzucono w miłości tygiel — i widziałam — jak złączone razem składowe części mej istoty płonęły złoto-krwawym ogniem.

I dumna byłam ofiarą moją i miłością

Oddalam wszystko, prócz dumy mej, bo sądziłam, że do niej ja tylko jedna mam prawo.

Nadeszła chwila kiedy zabrano i dumę moją! Wijąc się w konwulsyjnych skrętach — w odnęciu żalu, buntu, upokorzenia — przeklinam siebie, a jednak... jednak wołam, że kocham bardziej jeszcze...

Lepiej byłoby, gdybym, podeptawszy miłość, przestała być sobą — niewolnicą serca i krwi — a stała się zwycięzką, pogardliwą, wolną.

Ale już nie mogę. Wszystko co miałam spłonęło w tyglu miłości — nie mogę podeptać ukochanego serca — muszę tęsknić za utraconym spokojem — muszę być udręczeniem i raną wiecznie żywą.

P s a l m.

Panie! przez miłosierdzie Twoje nie karz mnie — ani w czystości Twojej nie mścij się nade mną.

Zmiłuj się nade mną Boże, bom chora jest — uzdrów mnie, bo cierpią zmysły moje.

Oto rozgrały się szaloną fugą pożądania, i dniem i nocą ścigają spokój mój, szarpiając w kawaly.

Głodne to psy, puszczone samopas.

Kazalam stróżowi myśli spętać te psy na łańcuch silnej woli, aby legły w pokorze.

Szamotałam się z nimi — ja pani ich, — aż pokonały mnie i uczyniły niewolnicą.

Upadłam w walce z nimi — upadłam bezsilna i wycieńczona.

W gorączce rzucam się na pościeli mojej — a rano twarzy przywartej doń łzami podnieść nie mogę.

I słońca nie oglądają z radością oczy moje, napuchłe z płaczu.

A w dzień, jak błędny duch chadzam, nie bacząc na ludzi i na świat nie pomnąc.

Radości niemasz sercu strudzonemu — pokoju niemasz duszy zużekanej.

Ty Panie widzisz walkę moją — a jako, że trwasz od początku do końca wybaw mnie z męki bolesnej.

Dusza moja czysta jak płonąca świeca w czasie nabożeństwa... to jeno ciało wyje buntem i woła rozkoszy.

Umiłowalam duszę mężczyzny uczuciem aniołów, czystością świętych dzievic, nieplamną liljową bielą. A teraz ciało ukochało jego ciało i pragnie...

Ulituj się Panie pożądaniu memu.

Wybawić się nie mogę, boć umiłowany mój droższy mi nad wszystko.

Ale Ty Panie mocen jesteś uczynić wiele — przeto wybaw nas! Połóż nam na ciele ręce swe i rzeknij:

— Uzdrowieni jesteście. Idźcie w pokoju, idźcie na drogę czystości i sprawiedliwości.

Otom jest teraz przybita do rozpaczony krzyża — zdejmij mnie zeń i złóż na swym boskim ramieniu.

Pozwól Panie, że przejdę przez życie z umiłowanym moim, by później u Ciebie uczynić sobie mieszkanie.

Chwała Litości Twojej, Sprawiedliwości, i Potędze — jak była na początku — tak i wiekuiście. Amen.

Halita Zgórska.



Ostatnia msza.

Oto sprawuję moją mszę ostatnią,
Najkrwawszą składam objatę.

— — — — —
Śmierć mię dziś w nocy wiodła pełną szatnią,
Gdzie skarby swoje złożyłem bogate —
Śmierć mię dziś wiodła lochami podziemi,
Jedną za drugą wskazując komnatę —
I niema, głucha — dłońmi kościstymi
Szperała w skrzyniach. — Złotogłów, purpura
Jasne djamenty i perły matowe,
Łańcuchy ciężkie, jak rozpacz ponura,
Rubiny krwawe, jak łzy Chrystusowe,
Ornaty, w których ciche robotnice
Zamknęły całą kunsztu tajemnicę,
[... O wyplakane aż do dna źrenice!...]
Sandały kwietne, jak łąka na wiosnę —
Wszystkie te skarby — te skarby żalosne —
Raz jeszcze błysły przed mej duszy wzrokiem —
Bym dziś na moim ołtarzu wysokim
Złożył swe serce w godnej serca szacie —

— — — — —
Bądźcie świadkami przy mojej objacie — !
— — — — —

Więc — *Introito ad altare Dei* — —
A niema we mnie ani skry nadziei —

A niema we mnie ani cienia wiary.
 Zato jest miłość — och — miłość bez miary —
 Miłość tak jasna i taka płomienna,
 Że choć pogasły wszystkie świece w tumie,
 Nikt z was, o bracia, uwierzyć nie umie,
 Że to jest północ, a nie pora dzienna — —
 To miłość moja świeci wam raz jeszcze.

A na patenie leży serce krwawe,
 Którym przedśmiertne już wstrząsają dreszcze.

O Święty, Święty, *Nieśmiertelny — ave!
 Byłeś mi kiedyś Jutra jasnym bogiem,
 Byłeś mi kiedyś szafarzem światłości,
 Przed Twojej świątyni niedostępnym progiem
 Śniłem, że słońce w niej odwiecznie gości —
 I przyszła chwila, odkryłem zasłonę,
 Mysząc, że padnę i w ekstazie spłonę —
 A w Świętym Świętych — Sfinks — ogryzał kości —

Więc precz wywlokłem świętokradcze zwierzę
 I zapuściłem nanowo szkarłaty —
 I rzekłem w sobie: Jest Bóg — chcę, więc wierzę.

A potem — dawno to było, przed laty —
 Poszedłem szukać Boga — —

On jest jeden,

A więc w jedności serc go szukać trzeba,
 On biednych kocha, więc nie śniony eden,
 Lecz mu ojczyzną powinna być gleba,
 Co rodzi wiele cierni, mało chleba.
 Znalazłem Boga! —

Znów ciężkie zasłony

Odkryły oczom moim Pelikana — —
 Biała pierś jego krwią była zmazana,
 Razporaz nurzał w niej słabnące szpony —
 A wkoło — wyjąc — niesyte szakale
 Tę krew ofiarną chleptały zuchwale.

 I znów opadły szkarłatne zasłony —

Uciekłem męką tej krzywdy szalony,
 Gdzieś na samotnej wyspie żyłem długo —
 I już nie chciałem być nikomu sługą,
 Lecz duszy własnej budowałem trony —

Aż przyszła — jasna, z oczyma z błękitu,
 Spojrzała na mnie, jam czuł, że się kruszę — —
 I wzięła serce, i wzięła mi duszę
 Za krótką, cudną godzinę zachwytu.
 Potem odeszła, a ja umrzeć muszę.

Szczęście — wróć jeszcze — wróć jeszcze na chwilę —

— — — — —
Pokorne skronie przed ołtarzem chylę — —
Dymy kądziel wzbily się nad głową
Chmurą pachnącą i fioletową,
A ja się w piersi biję — *Confiteor* — —

Oto mię olśnił uludny meteor,
Otom się zbląkać dał na mej pustyni
Fatamorganie — słonecznej bogini —
I bogu Jutra zastawiwszy stoly,
Wypiłem wino na uczcie wesołej — —

A jeszcze gorsza zbrodnia od tej zbrodni —
To myśl, że wina tego — myśmy godni —
Myśl, której dotąd pozbyć się nie mogę,
Chociaż w nieznaną już odchodzę drogę,
Myśl ta, co słońcem pisze na mogile:
—Szczęście—wróć jeszcze—wróć jeszcze na chwilę—

— — — — —
Hej — na kolana! Już objatę wznoszę —
Ani litości, ni żalu nie proszę.
Zyłem, jak żyłem — i czciłem, co czciłem,
Zwaliłem bóstwa — i duszę zabiłem —
Z głową wzniesioną dziś przed wami stoję —
Hej — na kolana! — oto serce moje! — —

Za każdy uśmiech, za każdą pieśczętę,
Za ust granaty i za włosy złote,
Za pieśń, co drżała boskiem uniesieniem —
Dzisiaj krwi własnej płacę wam strumieniem,
A kto bez winy — spójrzcie, czy się boję —
Kamieni waszych czeka — serce moje!

— — — — —
Requiem aeternam dona mihi— dona —
Ostatni płomyk dogasa już, kona—
Za was modlitwę teraz wznoszę bratnią,
Wam przekazuję za mój ból zapłatę — —

— — — — —
Oto skończyłem moją mszę ostatnią —
Krwawą złożyłem objatę — —

Na mównicy.

Ty głos cierpiący podnieś i niech w Tobie
krzyknie i naraz poważnie zaśpiewa
wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie.
Mów — otwórz drogi Świętemu Duchowi,
mów, a do niebios bożych pokaż wrota,
cały się naród z ducha niech wystawi,
cały o przyszłość niech się zakłopota!
Słowacki.

— Przecz mnie wybrałeś sobie, Panie, na Apostolstwo one? Pomyśl, Panie, azali się nie zawiedziesz? Chwiejne są barki, które Apostolstwa krzyżem obarczyłeś — ugiąć się mogą. Drżący i niepewny głos, w który zakląć chcesz słowo Prawdy — zerwać się i zamilknąć może. Wątpliwości pełen umysł — wbrew Twym zamiarom pokierować może ręką, drogi wskazującą. A kiedy oczy ku Prawdzie tęskniące spoczna na twarzy mej, azali będzie ona odbiciem tęsknoty ich? Uwolnij mię, Panie, od Apostolstwa onego, a pozwól, niech odejdę na spokój i zapomnienie. Uwolnij mię, Panie, albowiem smutny jestem i wątpiący.

— Idź, synu! Choćbym cię uwolnił, spokoju nie znajdziesz. Nie ukołyszają cię już na sen bory szumiące, nie położy ci na skronie cichej dłoni noc gwiezdna, nie uniesie na falach swych twej tęsknoty wstęga rzeczna. Na najdalszej pustyni doleci uszu twych krzyk wołających ratunku ust bratnich, że wrócisz i zapytasz, kto i o co woła i smucić się będziesz ze smutnym i płakać z płaczącym i tęsknić z tęskniącym. Więc idź synu, a mów!

— Co mówić będę, Panie? Że sam cierpię i, żem smutny? To im ulgi nie sprawi. I czy naprawdę czuję w sobie głos Twój? Azali naprawdę? Bom oto jest, jako jeden z nich...

— Mów!

* * *

Ależ on jest pyszny z tą pozą Apostolstwa!

No, deklamuj, deklamuj, kawalerze!

Pyszny jesteś, doprawdy!

Proroctwa mu się śnią, wizje, sny... Z Bogiem rozmawia—doskonali kawalarz! Znamy się na takich! Che! che! che!

Ruble ci miłe, niebożatko! „Proteścik“ nieźle idzie! Kupują, kupują na gwałt! Umiesz bawić publiczność, niema co!

Żonki ci się zachciało, klecho! „Kastę“ chcesz tworzyć? Małyś miał wybór po parafjach... Żle ci było?

Reformatorstwa mu w głowie. Żle mu to było przy pełnym korycie? Powróć—dopomożemy ci! Ale tymczasem na ulicy nie pokazuj swej reformatorskiej głowy, bo to w kraju „szczerze katolickim niebezpiecznie!“

* * *

— Widzisz, Panie, oto jest odpowiedź na głos mój. Tyś, Panie był świadkiem, jako płakałem w cichości nad braćmi i jako los ich był mi ponad wszystko, oto jest odpowiedź.

— Mów synu—przyjdą inni... Mów, synu!

I przyszli.

Przyszedł starzec siwowłosy i głowę mi starczą na pierś złożył i płakał. A potem z za nadrza wyjął arkusik pozółkły papieru i czytał: „To jest mój katechizm, to jest moja ewangelja: Wierzę i każdy człowiek wierzyć powinien w najwyższą Istność, zaś żywot powinien prowadzić według zasad Chrystusa, opierając się na czystem sumieniu, wysokiej prawości i poszanowaniu godności osobistej... Ale niestety, rzecz się ma przeciwnie. Człowiek pod względem naukowym postępuje, ale upada pod względem zasad moralnych i upada tak nisko, że gorszym jest od zwierząt.

Zwierzęta jakimi były, takimi są, a ludzie doszli do największych zbrodni, nie czując okropnego ciężaru sumienia... Lecz świat na to jest niemy...”

— Trzydzieści lat, mój drogi, noszę to moje credo na piersiach obcy wszystkim. Ci, co bożkowi katolicyzmu palą obłudne ofiary, widzą we mnie bezbożnika, inni dziwią się moim zasadom, zowiąc je naiwnymi. Więc przeszedłem przez życie samotny i smutny i dziś błogosławię chwilę, żeś mi z serca wyrwał krzyk protestu... Oby się echem rozległ najszerszem i odbił we wszystkich sercach, jak moje, samotnych i smutnych...

Ten starzec miał świątynię w duszy własnej—świątynię Miłości. A zdaleka chodził od utartych kościelnych ścieżek Kłamstwa. I stał mi się bratem najmiłszym dobry, cichy starzec.

A przychodzili jeszcze inni.

Przyszedł młodzieniec, któremu brutalna ręka Prawa Kanonicznego potargała najświętsze uczucia, nie pozwalając na małżeństwo z umiłowaną kobietą, iż była jego siostrą cioteczną.

Przychodzili i tacy, którym ostatni grosz wyrwały ręce ludzi w czarnych sutannach.

Przychodzili i ludzie w czarnych sutannach — Duchy promienne i lotne, konające w więzach Dogmatu, Fałszu i Celibatu.

Przyszła kobieta z wysokiego rodu i płakała, że cierpię i cichy matczyzny pocałunek złożyła na mym czole. A inna kobieta przysłała siostrzane błogosławieństwo zdaleka, a i ta była z rodu możnych.

I coraz więcej przychodziło ludzi życzliwych i coraz więcej listów odbierałem i ratnich.

I czułem, że oto ucztą gotuje się wielka—uczta Miłości i Prawdy. Więc błogosławiłem Pana za wszystkie cierpienia, jakie na ducha mego zesłał i za krzyki tłumu z ulicy dochodzące i za sarkania synów ziemi i niewoli. Albowiem cierpienie wyzwalało mi ducha coraz bardziej i wypromieniało, iż stał się jako obłok lotny, jako gwiazda cicho pełgająca — daleki, daleki od ziemi, bólem tylko ku niej przywartry...

* * *

Ale przychodzili mędracy i kiwali głowami, iż nieuczzone są słowa moje, bo niema w nich „programów.“ Chcieli, abym im kodeksy nowego zakonu tworzył, a śmieli się, gdy m mówił, że kodeks ten znajdują w sercu własnym; odchodzili, kpiąc.

Alem ja na mędrców nie zważał. I przywierałem ucho do piersi bratnich, i wsłuchiwałem się w ich pragnienia najtajniejsze i tęsknoty najdalsze.

I odpowiadały mi piersi one echem żalu, że w mroku piwnicznym oddychać im kazano, a one tak pragną, tak pragną słońca...

* * *

Więc otwierałem księgi prorockie i rady w nich szukałem na bratnie pożądaną. A była w księgach onych tęsknota wielka do słońca, ale słońca nie było. Więc do Pana wołałem: „Panie, daj słońce braciom moim, albowiem w mroku pokonają“. Więc znowu otwierałem księgi, krwią pragnienia pisane i czytałem:

Warszawa w mroku — oczekuje na światło z mroków: religijność nasza musi zarzucać siecie głębiej — aż w czeluście morza Tajemnicy — tłumy muszą wziąć ewangelię do rąk — Chrystusa ujrzyć przejaśnionego na górze Tabor — wtedy nie zdradzą przed walką, o której Chrystus mówił — że: nadchodzą czasy, gdy należy sprzedać płaszcz, a kupić miecz! Katolicyzm dla którego myśl bez wiary jest „pestis perniciosissima“ (zaraza najjadowitsza — słowa papieża Piusa X) sam już nie ma słowa, które uzdrowia i ślepym wzrok przywraca. To biuro, które misjonarzy swoich wysyła na misje ludów lepszych niż katolicy — to księża, którzy odprawiają swój kawałek ze mszą, pogrzebem i spowiedzią — ręce, które unoszą Boga w sakramencie — piszą w złości pamflet przeciw budzeniu się duchów! to Syzyf — chęć wtoczenia świata na górę nieruchomą. a świat wciąż zapada z otchłami w otchłań.“¹⁾

I rozmyślałem i ad słowami onemi, a widziałem, iż prawdą jest, co głoszą: Albowiem i sam znałem wielu takich, co udawaniem wiary plamili dusze swe. A chodzili do świątyń, aby byli widziani od ludzi, ale nie szli tam za głosem serca. A pościli i modlili się poto, jak mówili, aby nie gorszyć maluczkich. A nie wiedzieli, iż udawaniem gorszyli ich bardziej, albowiem z życia miast Piękna i Prawdy tworzyli Kłamstwo.

A czytałem dalej Księgi Pragnienia. I znalazłem w nich, jako nastął czas budzenia się do Nowego Życia.

„Niech Litwa się budzi i jej olbrzymie prastare trąby sutartiniemy niech grają wśród lasów i łąk, podnosząc myśl w niebiosa, wzywając do wielkiego narodowego oczyszczenia w ogniu Znicza.

Niech Polska się budzi i nareszcie utworzy swoją własną Wiedzę i Wiarę, bo nie można Wiedzy zapożyczyć z Europy, a Wiarę przyjąć z Judei. *Tylko to można wiedzieć, co się przeżyło całym jestestwem -- tylko w to można wierzyć, co jest potwierdzone wewnętrznym cudem.*

Chrystus musi naradzać się w każdym kościele polskim, Lucifer musi jawić swe mądrości w Tatrach, nie na Libanie.

W Rosji tłum tych, co sami podpalali się w chatach w imię Litery — teraz niech się spala ogniem przemienienia w imię Ducha. Ruś niech wyzwoli w sobie Wernyhorę rolnika — wieszca.

Niech duchom tym Polska pomaga powstać. sama wstając i wielbiąc Nieświadomego Boga jednym hymnem wielkim, tysięczdzwonnym, od morza Bałtyckiego po góry Tatr, i od brzegów Warty, Niemna, poza Dniestr, Prypeć i Berezynę.

Na fundamentach swej natury słowiańsko-indyjskiej wznosmy Kościół Życia, gdzie idzie przez morze mroków Chrystus odziany w słońce.

O przyjście tego wyzwolenia, otworzenie się takiej świątyni oblewa łzami lud w Częstochowie kamienie posadzek i bruk ulicy przed Bramą Wschodu w Wilnie i szuka go w Kijowskich pieczarach — i kryje się z jego marzeniem w tundry sybirskie...“²⁾

1) Tadeusz Miciński — Do źródeł duszy polskiej — str. 160.

2) Tadeusz Miciński — Do źródeł duszy polskiej -- str. 178.

I pragnieniem wielkim serce me zadrgało, abym ujrzał święto Miłości. I marzyć mi się poczęły najdalsze chaty Słowiańszczyzny, a w nich — cisi dobrzy bracia. A każdy w sercu swem nosił Boga Miłości i Piękna. I uśmiechały się twarze przyjaźnie do słońca i rozlogów wiosennych, wypromienionych rozradowaniem wielkim ze szczęścia ludzkiego. Więc wołałem do Pana: „Panie, Panie, o kiedyż szczęście przyjdzie do Słowiańszczyzny?“ I czulem opowiedz w sercu swem, że idzie — wielkie, promienne, niebывałe. Więc otwierałem znowu Księgi Pragnienia i czytałem w nich widzenie prorockie dnia onego, w którym pocznie się Święto Miłości i Pokoju:

Białe gromady
Szły w ogromne, bezkresne przestworza —
Bracia moi — od morza do morza!
— A gdzież inni?
— Już poszli na zwiady!
A tyś kto jest?
— Nie poznajesz Rusa!
— A chorągiew czy nasza?
— Chrystusa.
Więc nie zładą jest Chrześcijan przymierze?
Więc zwyciężył ten promień miłości?
Razem idźmy, o bracia, w radości —
Rozerwijmy na piersiach pancerze —
Niechaj zabrzmią — na świat cały — grania —
Dzwony duchów — dzwony
Zmartwychwstania!

Warszawa 3 maja 1906 r.

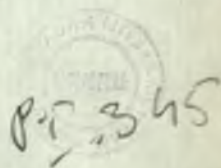
Prometeusz Wichur



Redaktor i Wydawca Edward Miłkowski.

Druk J. Kamińskiego Nowy Świat 48.

ja
a



P.T. 345

1906